

Petersburg, luty 1905 rok

Aleksandra Orłowa siedziała przy fortepianie, a jej palce delikatnie muskały klawisze, wydobywając z instrumentu ciche, pełne tęsknoty dźwięki nokturnu e-moll Chopina. Opus siedemdziesiąte drugie, numer pierwszy, westchnienie polskiego geniusza, wypełniało powietrze nutami tak subtelnymi, że zdawały się utkane z mgły i blasku świec. Aleksandra grała *pianissimo*, niemal szeptem fortepianu. Lewa dłoń delikatnie budowała melancholijny akompaniament, podczas gdy prawa snuła prostą, ale przejmującą melodię. Każda nuta była nasączona bólem – nie tym ostrym, nagłym, ale głębokim, przewlekłym, który osiada w duszy jak kurz na nieużywanych meblach. Chopin przelał w te dźwięki całą tęsknotę emigranta – tę samą, która teraz pożerała serce Aleksandry od środka.

A potem nadeszła środkowa część. Melodia wybuchła jak promień słońca przebijający petersburskie chmury, jak nagły śmiech w domu żałoby. Jej palce – te same, które przed chwilą głaskały klawisze – teraz przyspieszyły, goniąc za tą ulotną nadzieją jak dziecko za motylem. Ta jasność, obietnica szczęścia, była jak złudzenie, jak fatamorgana na pustyni samotności. Ale światło zgasło równie szybko, jak się pojawiło. Melodia zapadła z powrotem w objęcia melancholii, tonąc w pierwotnym e-moll jak księżyc w czarnych wodach Newy. Ostatnie dźwięki rozplynęły się w ciszy salonu – delikatne, kruche, niedopowiedziane. Jak niewysłane listy. Jak nieskradzione pocałunki. Jak wszystkie „gdyby” i „może”, które wypełniały jej życie.

Za oknem Petersburg owijał się w śnieżny szal, a Newski Prospekt, ta tętnica imperialnej stolicy, pulsował życiem pod białym przykryciem. Z ulicy dobiegała prawdziwa miejska symfonia – stukot końskich kopyt o bruk brzmiał jak werble w orkiestrze codzienności, przekupki wyśpiewywały swoje oferty, zachwalając gorące bliny i pieczone kasztany głosami pełnymi pasji godnej primadonny, a gdzieś w oddali niczym złowrogi kontrabas niosły się gniewne głosy demonstrantów – niepokojąca nuta w pozornie spokojnej melodii carskiej stolicy.

Petersburg trwał w swojej imperialnej obojętności, podczas gdy ona snuła przy fortepianie historię swojego życia – bez jednego wypowiedzianego słowa. Grała tak cicho, że melodia zdawała się bardziej szeptem jej duszy niż rzeczywistym dźwiękiem. Suknia z ciemnozielonego aksamitu, ostatni krzyk mody prosto z Paryża, opinała smukłą sylwetkę Aleksandry. Koronkowy kołnierzyk, delikatny jak pajęczyna, muskał jej szyję przy każdym ruchu, przypominając o kajdanach etykiety. Czuła się jak przebrana aktorka na scenie życia – jakby ta suknia należała do kogoś innego, do jakiejś petersburskiej damy z krwi i kości, którą ona jedynie próbowała udawać.

Wiedziała dobrze, że w tym rosyjskim domu, gdzie portrety carów spoglądają na nią surowo ze ścian, muzyka Chopina brzmi jak szept buntownika – słodki i niebezpieczny zarazem. Ojciec marszczył brwi na samą myśl o polskiej muzyce i wszelkich symbolach nieposłuszeństwa, które należało wykorzeniać. Dużo bardziej cenił utwory wielkoruskich kompozytorów. W jej głowie pobrzmiwał natrętny głos ojca wychwalający mistrzów: „Czajkowski! Rimski-Korsakow! Oto prawdziwa muzyka Imperium!” – mawiał, a słowo „wielkoruski” brzmiało w ich domu jak zaklęcie mające odpędzić wszystko, co obce i niepożądane. Jednak te dźwięki, choć piękne jak złote kopuły cerkwi, nie potrafiły rozpalić duszy Aleksandry tak jak płomienne nuty Chopina.

Nagle, jak grzmot przerywający ciszę przed burzą, rozległy się ciężkie kroki na korytarzu. Znała ten dźwięk lepiej niż bicie własnego serca – to ojciec wracał ze służby, niosąc ze sobą chłód carskich urzędów i zapach wojskowego munduru. Jej palce, jeszcze przed chwilą

tańczące po klawiszach jak baletnice w Teatrze Maryjskim, zastygły w bezruchu. Ostatnia nuta Chopina zawisła w powietrzu jak niedopowiedziane „kocham cię” na ustach nieśmiałego kochanka. Z gorączkowym pośpiechem, przewracała kartki nut. Szukała czegoś, co nie wzbudziłoby gniewu ojca, czegoś odpowiednio „wielkoruskiego” i poprawnego. Jej myśli niczym stado jeleni spłoszonych wystrzałem myśliwskiej strzelby rozpiezchły się na wszystkie strony, uciekając od melodii.

Aleksandra westchnęła ciężko, jakby na jej ramionach spoczął cały ciężar Imperium. Delikatnymi palcami, które jeszcze przed chwilą pieściły klawisze fortepianu, poprawiła niesforny lok – buntownika, który wyrwał się z misternej konstrukcji jej fryzury. Chopin musi poczekać – pomyślała z nutą żalu, jakby żegnała się z ukochanym.

Ledwo jej palce musnęły chłód klawiszy, gdy drzwi salonu otworzyły się z takim impetem, jakby sama historia wtargnęła do pokoju. Pułkownik Siergiej Orłow wkroczył do środka niczym żywe wcielenie potęgi Imperium Rosyjskiego. Jego mundur, obsypany płatkami śniegu, lśnił w świetle petersburskiego popołudnia. Twarz ojca, surowa jak zimowy pejzaż za oknem, ściągnęła się w grymasie, który Aleksandra nauczyła się odczytywać lepiej niż nuty Chopina – była to mieszanina zmęczenia ciężarem obowiązków i irytacji światem, który ośmielał się nie podporządkowywać woli Imperium.

– Sasza¹ – odezwał się, używając zdrobnienia jej imienia, które zawsze brzmiało czule w jego ustach. – Co tam znowu wygrywasz?

Aleksandra poczuła, jak jej serce przyspiesza. Czy usłyszał Chopina? Czy wyczuje polskie nuty wciąż unoszące się w powietrzu? Zmusiła się do uśmiechu, który – miała nadzieję – wyglądał na naturalny.

– Witaj, ojciec – odpowiedziała, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie. – Właśnie miałam zacząć ćwiczyć nowy utwór Czajkowskiego.

– Czajkowski, powiadasz? – mruknął, podchodząc bliżej fortepianu. Jego wzrok przez chwilę błądził po nutach, ale myślami wydawał się być gdzie indziej. – To może poczekać, Sasza.

Aleksandra zauważyła, że ojciec trzyma w dłoni jakiś papier. Kopertę? Poczuła, jak niepokój ściska jej żołądek.

– Coś się stało, ojciec? – zapytała, wstając od fortepianu.

Siergiej westchnął ciężko, po czym wyciągnął w jej stronę list.

– Przyszła wiadomość z Różanego Jaru – powiedział, a jego głos zabrzmiał niezwykle miękko. – Obawiam się, że nie są to dobre wieści. Jak ta cała zima, która już mi zbrzydła – dodał, wyglądając przez okno.

Aleksandra poczuła, jak drżą jej ręce, gdy sięgała po kopertę.

– Co... co się stało? – wyszeptała, bojąc się otworzyć list.

Ojciec położył dłoń na jej ramieniu, a w jego oczach dostrzegła coś, czego dawno nie widziała: troskę.

– Brat twojej matki nie żyje, Sasza.

Wuj Anatol... jedyny łącznik z polską częścią jej rodziny, ze światem, którego nie знаła, ale za którym tak mimowolnie tęskniła po śmierci matki.

– A dwór w Różanym Jarze... – ojciec zawahał się, wiedząc, jak trudne będzie dla Aleksandry to, co miał jej jeszcze do przekaza-nia – ma zostać sprzedany.

Sprzedany? Aleksandra poczuła, jak coś ściska ją w gardle. Różany Jar – miejsce, o którym matka zawsze mówiła z taką tęsknotą i miłością.

– Jak to? Nie będzie twój? Zawsze mówiłeś mamie, że pewnego dnia go przejmiesz i jak sytuacja w Królestwie Polskim się uspokoi, urządzisz tam swoją daczę i będziemy spędzać tam całe lato. – Dziewczyna uważnie przyglądała się ojcu, który zaczął teraz kręcić głową. – Mówiłeś, że klimat Kresów tak bardzo ci służy i czujesz się tam dużo spokojniejszy niż tu – argumentowała z podenerwowaniem.

Siergiej podszedł do okna, wpatrując się w zaśniewany Newski Prospekt. Jego sylwetka odbita w szybie wydała się nagle Aleksandrze stara i zmęczona.

– To... to skomplikowane, Sasza. Prawda jest taka, że nigdy nie miałem zamiaru przejąć tego dworu. To był tylko sposób, żeby uspokoić twoją matkę. I nie patrz tak na mnie! Nie mamy tam czego szukać – dodał. – „Pewnego dnia”, o którym zawsze wam mówiłem, nigdy nie nadeszło. A teraz... teraz jest za późno.

Aleksandra poczuła, jak narasta w niej gniew.

– A więc wszystko, co obiecywałeś mamie... to były kłamstwa? – zapytała cicho, starając się opanować drżenie głosu.

– To nie tak – odpowiedział Siergiej, marszcząc brwi i przecierając dłonią zmęczoną twarz. – Kochałem twoją matkę. Po prostu... chroniłem ją przed rzeczywistością. Chciałem, żeby była szczęśliwa. Różany Jar nigdy nie mógłby być mój. Jestem rosyjskim pułkownikiem, Sasza. Przejęcie polskiego majątku mogłoby zaszkodzić mojej karierze, zwłaszcza teraz, gdy sytuacja w Kraju Nadwiślańskim² jest tak napięta. Wiatry rewolucji wieją coraz silniej...

Przez chwilę w pokoju panowała ciężka cisza. Aleksandra próbowała zebrać myśli. Czuła, jak jej serce bije szybko, przepełnione mieszańką różnych emocji.

– Muszę tam pojechać – powiedziała nagle, patrząc mu prosto w oczy – zanim Różany Jar zostanie sprzedany. Proszę, ojcie – dodała, zupełnie nie wierząc w moc swoich słów wobec jego uporu i przekonania. Prośba wyrwała się z jej ust niemal wbrew jej woli, jak ostatni, desperacki krzyk nadziei, którą sama już dawno pogrzebała.

Doskonale znała swojego ojca – jego sztywne zasady, niezachwiane oddanie carowi i Rosji, nieufność wobec wszystkiego, co polskie. Wiedziała, że szanse na jego zgodę są mniejsze niż na to, że Petersburg nagle przestanie być stolicą Imperium. A jednak coś w niej, jakaś uparta część duszy odziedziczona po matce, kazała jej spróbować. Może to był ten sam duch, który pchnął jej matkę do małżeństwa z rosyjskim oficerem wbrew woli rodziny? Ta sama siła, która kazała jej przez lata pielęgnować marzenia o powrocie do Różanego Jaru?

Stała wyprostowana, z podniesioną głową, gotowa przyjąć odmowę, bo nawet jeśli nie wierzyła w sukces, to przynajmniej mogła zachować godność w porażce.

Pułkownik zmarszczył brwi.

– Dobrze wiesz, że to nie jest dobry moment. W Królestwie wciąż jest niespokojnie po styczniowych wydarzeniach.

– Ojcie – zaczęła cicho, ale stanowczo – mama zmarła tak nagle... – Aleksandra poczuła, jak łzy napływają jej do oczu na wspomnienie matki. Przełknęła ciężko ślinę, starając się opanować emocje. – Nie zdążyliśmy zrobić tylu rzeczy, które planowałyśmy. Wiesz, ile razy

mi opowiadała o Różanym Jarze? Jak obiecywała, że pewnego dnia pojedziemy tam razem, że pokaże mi miejsce, gdzie dorastała, że zabierzemy stamtąd jej pamiątki?

Siergiej drgnął lekko na wspomnienie żony. Jego twarz, zwykle surowa i nieprzenikniona, na moment złagodniała. Aleksandra kontynuowała, czując, że trafiła w czuły punkt ojca:

– To wszystko może zniknąć, ojcie. Jeśli dwór zostanie sprzedany, stracimy ostatni kawałek jej świata. Czy nie chciałbyś, żebym mogła zobaczyć to miejsce choć raz? Żebym mogła przywieźć stamtąd choćby małą część tego, co było dla mamy tak ważne?

Siergiej Orłow stał nieruchomo, jego twarz jak zawsze pozostawała nieprzenikniona. Był znany ze swojej surowości i dyscypliny. Cechy te uczyniły go szanowanym pułkownikiem w armii carskiej. Jego stalowoszare oczy, które potrafiły przenikliwie oceniać podwładnych, teraz spoczęły na twarzy córki. Siergiej mimo reputacji człowieka twardego i bezkompromisowego miał jedną słabość – Aleksandrę. Była ona żywym wspomnieniem jego ukochanej żony, a jej upór i błysk w oczach często przypominały mu o czasach, gdy sam był młody i pełen naiwnych ideałów.

– Sasza... – zaczął łagodnie – rozumiem wszystko, co mówisz, ale musisz pamiętać, że jestem rosyjskim pułkownikiem. Moja pozycja...

– Właśnie dlatego – przerwała mu, widząc szansę – twoja pozycja może nam pomóc. Poza tym to może być dobra okazja, żeby zobaczyć, jak wygląda sytuacja w Królestwie. Mogłabym ci o wszystkim opowiedzieć po powrocie.